Świat powieściowy.

Nr. 116 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

# Po latach dwudziestu.

VII.

Gdy wrócił, zastał na nocnym stoliczku rok 18** „Dziennika Sądowego“.

Teraz wziął się z interesem podwójnym do badania w najdrobniejszych szczegółach owego procesu.

Oto jak brzmiał akt oskarzenia:

„Dwudziestego piątego kwietnia jechał wieśniak ze wsi la Bourre do miasteczka Bonnière na targ tygodniowy. Przy drodze, w wąwozie głębokim, przez lud okoliczny „Kocim skokiem“ nazywanym, spostrzegł zwłoki skrwawione, w których poznał dziedzica dóbr, hrabiego Marcelego de Mortrée.

„Sąd przez wieśniaka uwiadomiony, zesłał natychmiast komisję, aby sprawdzić czyn morderstwa na miejscu. Trup leżał głową w rowie, i był widocznie rozebrany w chwili śmierci. Znaleziono na nim li koszulę, pantalony, a w jednej kieszeni tychże książeczkę małą, z tak zwanej „Biblioteki kieszonkowej“, tomik z jakiegoś romansu najświeższego. Nic więcej zresztą, ani pieniędzy, ani zegarka; na jednej nodze pół-bucik niezasznurowany z przodu, druga noga bosa.

Kula duża, okrągła, ze strzelby starego kalibru, utkwiła mu w samem czole i w mózgu ugrzęzła. Śmierć musiała nastąpić w tejże samej chwili.

To co znanem było z życia hrabiego, wykluczało wszelką możliwość samobójstwa. Wcześnie osierociawszy, pan wielkiej fortuny, hrabia prowadził życie swobodne, wesołe i jak się później pokazało, w owej chwili wcale nie myślał skracać życia, które miało dla niego powaby szczególniejsze. W krzakach przydrożnych znaleziono jedno miejsce wygniecione, i kilka prętów wyłamanych. Tam musiał był przykucnąć morderca i z tamtąd wziął na cel uciekającego. Że hrabia uciekał, dowodziło dostatecznie ubranie niedokończone, drugi bucik do sznurowania, znaleziony nie daleko od drogi w krzakach, i przedzieranie się przez krzaki, uwidocznione kwiatem strzęsionym z tarniny, i trawą wzdłuż krzaków wydeptaną. Uciekający został ugodzony w chwili gdy rów przeskakiwał. Jedna noga była zaplątana w zarośla nadbrzeżne, a głowa spadła w dół. Lekarz wezwany skonstatował, że śmierć nastąpiła nad ranem, po północy, na dwie zaledwie godziny przed znalezieniem trupa.

Skąd przybywał? Gdzie pędził o tak późnej godzinie? Kto miał i jaki powód aby go zamordować?

Osierociawszy bardzo młodo po obojgu rodzicach, pan wielkiej fortuny, jak już nadmieniliśmy, hrabia de Mortrée żył jednak od ludzi zdaleka. Od jakiegoś czasu prześliczna stadnina i psów sfory, odpoczywały, zamek niegdyś pełen wrzawy, balów, objadów i polowań, teraz głucha cisza zaległa, mówiono nawet po cichu, że młody dziedzic cierpi na melancholję. Czasem tylko przemknął się jak widmo mieszkańcom okolicznym, pędząc na złamanie karku przez lasy i błonia.

Gdy tak raz gonił po nocy, koń zaplątał się w sitowia nad brzegiem bagien i upadł, zrzuciwszy jeźdźca na pień drzewa. Rano dopiero spostrzegł go leśniczy hrabiego de Trameillan, a że bliżej było do leśniczówki niż do zamku Marne, posiadłości pana de Mortrée, za pomocą kilku ludzi, idących do lasu z siekierami, przeniesiono hrabiego do pomieszkania Jakóba Torquenié, zemdlonego z nogą złamaną. Gdy mu nogę chirurg z miasteczka pobliskiego złożył i obandażował, po dniach kilku hrabiego do Marne przewieziono.

Wyzdrowiawszy odwidził leśniczego, aby mu za starania podziękować. Odtąd bywał częstym gościem w leśniczówce, i na drodze prowadzącej do zamku d'Albrays, własności hrabiego de Trameillan. Widziano go nawet w alei do parku wiodącej, znikającego w tegoż gęstwinie. Uderzało to wieśniaków i węglarzy w lasach pracujących. Wszak nikomu obcem nie było, iż te dwa rody, de Mortrée i de Trameillan, nienawidzą się od wieków i nigdy się nie odwidzają.

Częste odwidziny hrabiego, zaczęły niepokoić Jakóba Torquenié. Miał lat dwadzieścia dwa zaledwie, był przytem usposobienia burzliwego i zazdrosny do szaleństwa. Ożenił się z miłości z dziewczyną ubogą, mleczną siostrą hrabiny de Trameillan. Marietta była śliczna, zgrabna jak sarneczka, pierwsza tancerka na mil dwadzieścia w około, uchodziła przytem za dziewczynę nader wesołą, zalotną, która już przed ślubem miała intrygi miłosne, za bałamutkę wielką jednem słowem, co nawet spowodowało rodziców Jakóba Torquenié, iż dłuższy czas sprzeciwiali się małżeństwu syna z piękną Mariettą. Stałość jego i prośby gorące

zwyciężyły wreszcie niechęć rodziców i Jakób uszczęśliwiony poprowadził Mariettę do ołtarza. Dwa lata żyli z sobą jak najlepiej; niesnaski między nimi zaczęły się dopiero od chwili, gdy do ich domku hrabia zawitał.

Raz zobaczył Jakób zdaleka konia hrabiego u płotu uwiązanego. Gdy wszedł, hrabia grzał się przed kominkiem, a Marietta przyrządzała mu winną polewkę. gdyż był cały zziębnięty i przemoknięty. Zdawało się Jakóbowi gdy wchodził, że żona drgnęła na jego widok, a hrabia czoło zmarszczył, jakby mu wejście męża było wcale niepożądanem. Wymawiał żonie po odjeździe hrabiego, bardzo dotkliwie i z wielkiem uniesieniem, że go już nie kocha, że mizdrzy się do hrabiego i męża dobre imię na obmowę naraża.

Spotkał go dnia pewnego wieśniak z la Bourrée, siedzącego nad rowem, z łokciami na kolanach, z brodą o lufę od strzelby opartą, z oczami czerwonemi jak gdyby po płaczu. Gdy go zapytał, czemu tak się smutno zadumał, krzyknął Jakób rozgniewany:

— A wam co do tego?!

W kilka chwil później spytała go z uśmiechem złośliwym, stara kobieta idąca do lasu po zbieraninę:

— Ejże Jakóbie! Czyście zasiedli na królika, czy też na grubszą zwierzynę, naprzykład na pewnego hrabiego?

Zerwał się wściekły, ściskając strzelbę oburącz, tupnął nogą o ziemię z całej siły i dziko zawołał:

— Chciałbym widzieć tam! twojego hrabiego, jędzo przeklęta!

Jeszcze inny świadek, Piotr Desplas, rymarz, zawołany do zamku, a nie mogąc tam być pomieszczonym, na rozkaz hrabiego mieszkał na leśniczówce. W nocy został zbudzony żywą sprzeczką małżonków. Słów wprawdzie dobrze nie rozumiał, ale słyszał ton gromki Jakóba, którym łajał ostro żonę, wymawiał jej obojętność, wymawiał, że się na obmowę ludzką naraża, że go męczy piekielnie, że dłużej tego nie zniesie, i gotów jest na wszystko!

Ten świadek, jak też i reszta, zeznania przysięgą stwierdzili.

Zazdrość Jakóba była znana powszechnie, to też skoro znaleziono trupa hrabiego, wieść głucha obiegała, iż nikt inny tylko leśniczy go zgładził.

Sąd wahał się zrazu z aresztowaniem Jakóba. Jego chlebodawca składał zeznania najkorzystniejsze, co do uczciwości nieposzlakowanej obwinionego. Nie był co prawda lubiony ogólnie, i nie miał przyjaciół. Był trochę dumny i nie wiele się wdawał z równymi sobie, mając się za coś lepszego z powodu, iż skończył kurs nauk z wyszczególnieniem. Dopomógł mu do tego hrabia de Trameillan. Głównym zaś powodem nienawiści był jego charakter nieugięty. Nie dał się przekupić nikomu, i ścigał złodziei, czy to drzewa, czy zwierzyny w lasach hrabiego de Trameillan, z surowością nieubłaganą.

Tak jednak coraz głośniej zaczęto Jakóba oskarżać o morderstwo, iż sprawiedliwość widziała się zmuszoną zesłać śledztwo na miejsce.

Jakóba na razie w domu nie było, Mariettę zaś znaleziono w gorączce gwałtownej, bezprzytomną. Było to właśnie we dwa tygodnie po zamordowaniu pana de Mortrée, a gdy spytano się kobietę, która chorą pielęgnowała, od jak dawna trwa gorączka, powiedziała że równo dni piętnaście.

Kobieta, którą zastano przy chorej, nazywała się Genowefa Tinnet. Była już nie młoda i cała jej rodzina, a i ona również służyła od czasów odwiecznych hrabiom de Trameillan. Lud prosty uważał ją za mądrą, czyli mówiąc wyraźniej, za rodzaj lekarki, czarownicy, i z tego powodu bał się jej i z daleka obchodził. Ze jej mąż niegdyś był węglarzem, więc i ją, wdowę po nim, ogólnie węglarką przezwano.

Po badaniu ściślejszem, pokazało się, że Marietta wpadła w malignę tego dnia właśnie, kiedy zamordowano nad ranem hrabiego de Mortrée. Marietta odpowiadać nie mogła, wzięto się więc do rewizji. Dwie dubeltówki leśniczego były innej zupełnie konstrukcji; w głębi jednej starej szafy w sieni, znaleziono atoli krótki karabinek, do którego lufki, kula wyjęta z czoła hrabiego, przydawała się doskonale, i który dotąd czuć było prochem świeżym.

W tej chwili nadszedł Jakób z lasu. Na widok komisji śledczej, zbladł i krzyknął zdziwiony niesłychanie. Następnie, gdy mu powiedziano, o co go posądzają, upadł na krzesło złamany i twarz dłońmi zasłonił. Spytany co robił dodnia 25 kwietnia, zawahał się, nie mogąc sobie dokładnie przypomnieć. Gdy mu karabinek i kulę pokazano, schwycił się za głowę przerażony. Przysięgał najuroczyściej, iż broni tej, do niego wprawdzie należącej, od roku nie miał w ręku. Ostatni raz strzelał do wilka, i wtedy lufę wyczyścił najstaranniej. Jakim sposobem obecnie jest prochem świeżym zaczerniona, to dla niego zagadką niezbadaną. O reszcie kul nie wie również, gdzie mu się podziać mogły. Co do owej nocy wie teraz na pewno, że obszedłszy las wieczorem, przed północą wrócił i więcej z domu nie wyszedł; gdyby żona była zdrowa, mogłaby to potwierdzić.

Karabinek zabrano jako corpus delicti, poszlaki zaś zbrodni, mimo widocznego zmięszania Jakóba, były za słabe, żeby go na razie można było aresztować. Musiano więc czekać, aż Marietta wyzdrowieje, i będzie mogła złożyć świadectwo, że mąż jej owej nocy był w domu. Tymczasem sąd szukał najgorliwiej mordercy, ale nadaremnie.

Zamiast wyzdrowieć z gorączki, nie mającej wcale charakteru choroby śmiertelnej, Marietta w dni kilka umarła. Ta śmierć nagła ściągnęła na Jakóba podejrzenie podwójne. Czy nie chciał tą nową zbrodnią, uwolnić się od świadka, który gdyby raz wrócił do przytomności, mógł mu zaszkodzić zeznaniami? Po rewizji lekarskiej, na zwłokach Marietty dokonanej, pokazało się, że została otrutą fosforem i to w ilości ogromnej.

Tym razem nie było co czekać dłużej. Któż mógł mieć w tem interes, żeby sprzątnąć ze świata Marietttę? Uwięziono Jakóba i do Renne sprowadzono.

Tygodnie i miesiące mijały, a więzień wszystkiemu zaprzeczał energicznie. Utrzymywał, iż wierzył święcie w niewinność żony, a jeżeli nie rad był częstym odwidzinom hrabiego de Mortrée, to tylko przez wzgląd na ludzkie złe języki, dla których i najlżejszy pozór wystarczy. Przysięgał najuroczyściej, iż nie byłby wstanie strzelać jak do wilka, do człowieka bezbronnego, a tem mniej by potrafił zadać z krwią zimną truciznę kobiecie, którą ukochał nad życie własne.

Nareszcie sam zażądał, aby go zaprowadzono przed sędziego śledczego, któremu powierzono sprawę tak zawikłaną. Spowodowany zapewne wyrzutami sumienia, przyznał się do wszystkiego. W przystępie zazdrości szalonej zamordował hrabiego de Mortrée, a żonę struł w rosole kólkami z fosforu, które wziął ukradkiem z młyna, gdzie niemi szczury truto.

Sąd więc zawyrokował i t. d.

Tak opiewał akt oskarżenia i tak brzmiały pierwszych świadków zaprzysiężonych zeznania.

Skoro znalazł się obwiniony przed ławą przysięgłych, odwołał zeznania uczynione. Obrońca jego, Rousseau, adwokat młody, pełen ognia i energji, ścierał się ostro z przewodniczącym, utrzymywał, iż klient jego był przez sędziego na różne sposoby męczony (senzacja między publicznością, przewodniczący wzywa pana adwokata, żeby się miarkował w wyrażeniach, i nieuchybiał sędziemu, który jest znany ogólnie z prawości).

— A jednak muszę powtórzyć, iż męczono nieszczęśliwego! — zawołał adwokat w uniesieniu. — Sędzia kazał mu zmniejszyć porcję jadła, budził go po kilka razy w nocy, w dzień zaś jak kat mordował ciągłemi badaniami...

— Panie adwokacie! — przerywa surowo prezydent — proszę się hamować, gdyż inaczej będę zmuszony odebrać panu obronę.

— Sam się cofnę — oburza się młody człowiek — jeżeli mam być obostrzonym w wolności słowa!

Siada i biretem głowę przykrywa.

Przysięgli konferują po cichu z przewodniczącym. Ten wreszcie odzywa się do adwokata łagodnie i z wielką godnością.

— Sąd nie może pozwolić, aby podsuwano mu podejrzenia niczem nie usprawiedliwione, przeciw urzędnikowi uczciwości nieposzlakowanej.

— Ja zaś radbym tylko, aby sąd nie dał się powodować, co do sprawy mojego klienta, pańską parcjalnością — odpowiada adwokat.

Przewodniczący wzywa sędziów, aby świadczyli jak niewinnie został przez pana Rousseau napadnięty. Sędziowie znowu jak mogą ułagadzają obie strony.

Posiedzenie przerwane.

Nazajutrz przesłuchują świadka głównego, Genowefę Tinnet.

Postać tej kobiety wywołuje między zgromadzoną publicznością. wielką senzację. Pogłoski obiegające o jej usposobieniu, przeszłość tej kobiety, wszystko podnieca w wysokim stopniu ciekawość. Rodzina jej była od dawien dawna oddana z duszą i ciałem hrabiom de Trameillan. Dziad jej zginął razem ze swoim panem na rusztowaniu, ojciec w wojnie wandejskiej. Usposobienia ponurego, egzaltowana do szaleństwa, uchodzi w okolicy za istotę, która nie zawsze jest przy zdrowych zmysłach. W roku 1832 towarzyszyła dzisiejszemu hr. Trameillan, jako dziewczę szesnastoletnie, przebrana za chłopca, gdy bronił z bronią w ręku sprawy księżnej de Berry. Miała nawet objąć raz dowództwo nad garstką Chouan'ów, idących w rozsypkę po zabiciu dowódcy, i kapitana strony przeciwnej, trafnym strzałem miała sama trupem położyć. Następnie czas jakiś w lasach się ukrywała, zamieszkując rodzaj jaskini, a raczej nory. W tej leśnej samotności zawiązał się jej stosunek z węglarzem, z którym później ślub wzięła, i zostało jej przezwisko pogardliwe „Szczura leśnego“, dawane jej czasem przez niechętnych.

Mimo wieku podeszłego trzyma się dotąd prosto. Sucha jak szkielet, z twarzą pokrytą zmarszczkami i obciągniętą skórą żółtą jak pargamin, z czołem i policzkami mocno naprzód wystającemi, z lasem włosów płowych, ostrych jak szczecina, z szczęką również naprzód podaną, z oczami buremi, głęboko osadzonemi, które z pod brwi krzaczystych i siwawych, rzucają naokół spojrzenia dzikie i niepewne, Genowefa Tinnet robi istotnie wrażenie wstrętne, przypominając raczej drapieżnika, niż ludzką istotę.

Po złożonej przysiędze Genowefa odpowiada na pytania przewodniczącego powoli, dobitnie, jakby rozumiała doniosłość zeznań swoich. Głos jej chrapliwy, nieprzyjemny, nieco przytłumiony.

Ona to, przechodząc z rana dnia 26 kwietnia, koło leśniczówki, opowiedziała Marji Torquenié, iż znaleziono w rowie, niedaleko od ich pomieszkania, trupa hr. de Mortrée, zabitego kulą z karabinka, okrągłą, dawnego kalibru. Na tę wiadomość Marietta krzyknęła przeraźliwie i upadła zemdlona na progu domu. Podniosła ją Genowefa z wielką biedą i na łóżku złożyła. W godzinę może nadszedł Jakób Torquenié. Wyglądał ponuro i był dziwnie niespokojny. Nie zwrócił prawie uwagi na to, co mu Genowefa o żonie opowiadała, tylko poszedł prosto do miski pełnej wody, i umył sobie ręce starannie. Nie miał broni w rękach, tylko kij sękaty; gdy spytała skąd powraca, zbył ją krótko: »że całą noc pilnował lasu w Giévre« (o milę od leśniczówki). — Bez strzelby? — wtrąciła świadcząca. — Na to nic jej Jakób nie odpowiedział, tylko plecy pokazał i wyszedł z izby.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*

# Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

XXI.

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Zgnieciony Fanfreluche błagał o łaskę.

— Manuelu — rzekła pani de Planche-Mibray, uspokoiwszy się trochę — nie rób nic złego temu starcowi. Dozwól mu powstać.

Pan de Maugeville puścił starca. Walka wyczerpała tegoż siły. Herkules dawniejszy był już dziś tylko biednym starcem, złamanym znużeniem i nie będącym w stanie walczyć z człowiekiem młodym i silnym, jak pan de Maugeville, a któremu miłość dla baronowej podwoiła jeszcze siły.

Fanfreluche patrzył to na młodą kobietę, to na Manuela, który się zdawał niewiedzieć kto on był i dla czego tu był. Z serca starca gniew i złość już uleciały. Teraz bał się. Bał się być wypędzonym, bał się być wybitym z rozkazu tej, którą sądził uparcie swoją córką. I upadł na kolana wołając głosem błagalnym:

— Och! wybacz mi pani, byłem szalony! jestem nędznikiem! wybacz mi przeto!...

Manuel patrzył na baronowę, jak gdyby ją pytał o słowo tej dziwnej zagadki.

— Człowiek ten był mężem mojej matki... — rzekła.

— A! — szepnął Manuel, zrozumiawszy wszystko.

Gdyby baronowa wyrzekła była te słowa: „ten człowiek był mężem mojej matki“ z odcieniem gniewu jak przed chwilą, Fanfreluche powiedział by był pewnie sobie: — Zapiera się mnie!

Ale mówiła to spokojnie, bez gniewu, z przekonaniem. Stary galernik podniósłszy się, z wzrokiem obłąkanym, cofnął się, wołając:

— A więc pani nie jesteś... nie jesteś pani więc..,

— Przysięgam — rzekła — że nie jestem twoją córką, i dam ci dowód.

— Dowód!...

— Tak... kiedy zechcesz...

Starzec krzyknął gwałtownie, potem zakrył twarz rękami i zdawało się, jak gdyby coś mu pękło w piersiach, tak łkanie jego było okropne i rozdzierające. I padając znowu na kolana zawołał:

— Och! nie odpędzisz mnie pani nie wysłuchawszy... nie przebaczywszy śmiałości!... Bo jestem winny w twoich oczach, nieprawdaż pani?!... Śmiałem wierzyć... śmiałem cię nazywać po imieniu... Ach! gdybym wiedział, że nie mam córki, czy myślisz pani, że byłbym opuścił galery? Czy sądzisz, że byłbym żył dwadzieścia lat w nędzy i niesławie, gdyby nie nadzieja?... Byłem winny, przelałem krew, i za to mię skazano.. Ale wśród moich męczarń i gdy kara ciężyła nademną, głos jakiś mówił mi w głębi serca:

— Nie trać nadziei! masz córkę!...

Sądziłem, że mam córkę, rozumiesz pani? I nie czułem na mych plecach kijów dozorców, i łańcuch mój zdawał mi się lekszy, gdyż ciągle sobie mówiłem:

— Może córka moja jest szczęśliwą! Wszak to drobnostka, że ja cierpię!

Potem jednego dnia powiedziano mi:

— Córka twoja jest piękną, córka twoja jest bogatą, córka twa jest najszczęśliwszą z kobiet...

Wtedy pani walczyłem, pasowałem się z samym sobą... och! bardzo długo! Z początku mówiłem sobie:

— Pewnie ona nie wie gdzie jestem, myśli, że umarłem. I ja śmiałbym, ja, galernik, pokazać się przed nią! Nie! nie! zostanę na galerach!

Ale potem myśląc ciągle i zawsze o niej, często mówiłem do siebie:

— Och! jak bym chciał ją obaczyć!

I życzenie to gorące opanowało mię, owładnęło mną całym, przepełniło moje serce, i stało się mem życiem. Mówiono mi zewsząd: „Wkrótce zostaniesz ułaskawionym“, ale kiedy? a ja chciałem obaczyć tę, którą miałem za swą córkę!... I uciekłem pani. Ach! nie pojmiesz nigdy niebezpieczeństw i znużenia, na jakie byłem narażony. Szedłem dzień i noc, omijając drogi główne, unikając miasta i miasteczka, śpiąc w lesie na ziemi wilgotnej, żebrząc o kawałek chleba, a często znosząc tortury głodu, bo nie śmiałem wyciągnąć ręki przed każdym. A wszystko to czyniłem, sądząc, że mam córkę!

I łzy gorące zalewały twarz jego schudzoną i spaloną od słońca.

Pani de Planche-Mibray i Manuel de Maugeville patrzyli na niego z litością i nie śmieli mu przerywać:

— Ach! — mówił on dalej — gdybyś pani wiedziała, jaką roskosz i przestrach uczułem zarazem, przybywszy tu dziś rano o świcie i spostrzegłszy zdaleka wierzyczki twego zamku! Gdybyś mię była widziała, gdy szedłem ścieżką, z nogami opuchłemi, zatrzymując się co chwila, tak wzruszenie moje było wielkie!... I gdy już byłem w aleji... gdy ciebie pani spostrzegłem, jadącą na koniu... Och! wybacz pani, wybacz mi! — kończył łkając.

Młoda kobieta czuła łzy w oczach. Milczała jednak. Czyż człowiek ten nie rozlał krwi jej ojca i matki?

Nagle Fanfreluche podniósł się.

— Pani — rzekł głosem spokojniejszym, jak gdyby coś nagle postanowił — opuszczę ten dom. Gdy ranek zabłyśnie będę już daleko... Opuszczę Auxerre... i będę iść, dopokąd nie zdybię żandarmów na drodze. Wtedy oddam się im i powrócę na galery, gdzie umrę spokojny, bo nic mi nie pozostaje, jak tylko umrzeć teraz!

Wymówił te słowa z szczerością i naturalnością, które są dowodem postanowienia niezachwianego. Ale pani de Planche-Mibray, dotąd milcząca i wzruszona, położyła rękę na ramieniu starca i rzekła:

— Nie, nie wrócisz na galery.

— Dlaczego? — szepnął.

— Ponieważ ukryję was aż do dnia, w którym otrzymacie ułaskawienie.

— Pani! — i spojrzał na nią z rodzajem przestrachu nagłego.

Ona mówiła dalej:

— Nie należy do córki sądzić swą matkę, lecz może przebaczyć w jej imieniu. W imieniu mojej matki przebaczam wam!

Fanfreluche upadł na kolana i pochylił głowę, jak dąb obalony piorunem... Chwilę klęczał przed tą kobietą, która wymówiła słowa przebaczenia, z czołem opartem o posadzkę i nie śmiąc spojrzeć na jej twarz majestatycznie spokojną. Ale ona podniosła go i pozwoliła mu wziąć się za rękę, którą on przycisnął do ust swoich i okrył łzami.

— Teraz mój przyjacielu — dodała — niech to, co zaszło między nami, zostanie wieczną tajemnicą... Żyjcie tu spokojnie... A chociaż nie jestem waszą córką, będę miała o was staranie.

Mówiąc to wskazała ręką starcowi łoże i wyszła z pawilonu, wsparta na ramieniu Manuela de Maugeville, który jej szeptał:

— Marto, jesteś aniołem!

## XXII.

Trzy dni upłynęło. Fanfreluche pozostawał ciągle w małym pawilonie w ogrodzie. Ludzie w zamku nie wiedzieli nic o zajściu, które tam miało miejsce, a baronowa dowiadując się o zdrowie starca, i nakazując, aby mu niczego nie brakło, nie odwidziła go jednak po tem. Fanfreluche nie dziwił się temu wcale. Pojmował, że córka tej, którą zamordował, nie mogła nań patrzyć bez wstrętu.

Na razie tylko nie pojmował, jakim sposobem baronowa nie była jego córką? W czasie, gdy zabił swą żonę i kochanka jej, mała miała około trzech lat. Ale te słowa baronowej, wypowiedziane z przekonaniem: „Jestem córką Maugeville'a!“ rozjaśniły umysł biednego kuglarza i wzbudziły dalekie wspomnienia. Przypomniał sobie, że w Tarascon, piękny oficer od huzarów umizgał się do jego narzeczonej, gdyż wtedy jeszcze cyganka nie była jego żoną. Ten piękny oficer był to pan de Maugeville, człowiek, którego on potem zamordował w Auxerre. I Fanfreluche pochyliwszy głowę, szepnął:

— Ponieważ ona to powiedziała, musi być prawdą!

Odtąd był pełen rezygnacji. I człowiek ten, który przez sześć miesięcy o tem tylko marzył, jak uciec z galer, aby obaczyć tę, którą sądził swoją córką, teraz miał tylko jedno życzenie: wrócić tam jak najprędzej!

Jemu, który teraz nie miał dziecka, ani rodziny, jemu, galernikowi i wyklętemu, trzeba było rodziny z galer, to jest towarzyszów łańcucha, ludzi jak on zniesławionych!

Po trzech dniach znużenie przeszło i czuł się silnym i lekkim. Pożegnać się z panią de Planche-Mibray było niepodobieństwem. Przebaczyła mu i zapewne chciała by go zatrzymać.

Jednakże był bez pieniędzy. Jakże wracać na galery? Jakże przedsięwziąć drugi raz bez środków tę podróż długą, przeszło całomiesięczną? Ale Fanfreluche ułożył taki plan. Teraz gdy sobie odpoczął, jadł dobrze i pił, mógł puścić się w drogę z kawałkiem chleba w kieszeni, iść noc i dzień, przejść Auxerre, dojść do Joigny, to jest dość daleko, aby nie wiedziano, że przyjęto go litościwie w Planche-Mibray. Tam da się aresztować, a policja postara się o wysłanie go na galery.

Trzeciej nocy pobytu w zamku, Fanfreluche wylazł z łóżka, podsunął story w pawilonie i zaczął się przypatrywać oknom pałacu.

W jednem jeszcze się świeciło. Było to może okno baronowej! I biedny kuglarz zaczął wpatrywać się w to światło, jak marynarz zbłąkany bez busoli na morzu nieznanem, wpatruje się w gwiazdę polarną. Ale nareszcie światło zgasło. Wtedy ostatnie westchnienie wyrwało się z piersi starca i szepnął: — W drogę, godzina wybiła!

I wziąwszy kij w rękę, wyszedł z pawilonu, przez wyłom w murze wydostał się z parku, skierował się na ścieżkę koło winnic i ruszył w drogę krokiem pewnym, nie obracając się już więcej.

## XXIII.

Mogła to być zaledwie północ. Noc była zimna, czas pochmurny, deszcz jednak nie padał. Fanfreluche szedł tą ścieżką koło winnic, ciągnącą się wzdłuż parku de Planche-Mibray, i łączącą się aż z lasem. Nie chciał iść przez Coulanges, ponieważ mógł się tam zdybać z żandarmami. Zresztą wiedział, że idąc przez lasy, zyska z jakie trzy mile drogi, ominie Auxerre i przybędzie do Joigny wieczór.

Tam był cel jego podróży. W więzieniu spodziewał się dobrze wyspać i tam się już o jadło troskać nie będzie.

Widząc go idącego krokiem szybkim, przez gęste lasy de Frettoye z kawałkiem chleba w torbie, nikt by był nie przypuszczał, że rozpoczynał podróż, której celem są galery.

Wszedlszy na pagórek, zatrzymał się chwilę. Kusiło go usiąść u stóp drzewa i czekać na pierwszy blask jutrzenki, ażeby raz jeszcze mógł widzieć choć w oddali wierzyczki zamku de Planche-Mibray.

Ale odepchnął tę pokusę, szepcząc:

— Nie, nie! Do czego to wszystko!

Teraz oczekiwał galer jak ziemi obiecanej. Jednakże nie chciał być zatrzymanym niedaleko Coulanges i Planche-Mibray.

Nie chciał, aby wiedziano, że baronowa dała przytułek galernikowi. Dlatego szedł drogą najmniej uczęszczaną w lesie, pobocznemi ścieżkami, któremi nawet strzelcy rzadko chodzą, a znają je tylko dobrze kłu-

sownicy. Idąc tamtędy był pewny, że nie spotka żandarmów.

O godzinie drugiej rano znajdował się mniej więcej w miejscu, gdzie cztery dni przedtem, rodzina Balthazar zaprowadziła go dla wyszukania pieniędzy, zakopanych przez jego kolegę z galer. Dotąd szedł nie wahając się i poznawał doskonale drogę. Lecz tu już musiał zorientować się. Jeżeli skieruje się trochę na lewo, z pewnością zejdzie do doliny, gdzie rodzina Balthazar zamieszkiwała ponurą oberżę, a Fanfreluche nie chciał obaczyć się z nimi. Wyrachował więc, że aby wyjść dobrze, musiał się skierować zupełnie na lewo. Niegdyś, gdy był kuglarzem, Fanfreluche często przebiegał tę okolicę i teraz w miarę jak postępował, orientował się coraz więcej. Jeżeli pamięć go nie myli, wyjdzie prosto do małego miasteczka de Fontenay, gdzie nie było straży polnej, ani żandarmów.

Po chwili uczuł gwałtowne pragnienie. W lasach Frettoye jest mało źródeł. Jednakże przypomniał sobie, że dawniej przechodził przez mały strumyk, idąc z Coulanges do Courson.

Ale od lat tylu łatwo się domyśleć, że las zmienił się bardzo.

W miejscu, gdzie dawniej były zręby, powstał las gęsty, a dawniejsze wielkie drzewa pościnane już dziś były zupełnie.

Jednakże Fanfreluche wiedziony jak gdyby dzikim instynktem, po całogodzinnem szukaniu odnalazł strumyk. Położył się i pił z roskoszą. Potem podniósł się zupełnie orzeźwiony i ruszył dalej w drogę.

Ale nie uszedł dwadzieścia kroków, gdy zatrzymał się nagle. Odgłos jakiś doleciał uszu jego, jak gdyby odgłos kroków w oddali.

Fanfreluche skrył się w krzaki i przyłożył ucho do ziemi.

Ziemia, w lasach szczególnie, w czas pogodny, niesie odgłos zdaleka. Fanfreluche usłyszał wyraźnie najprzód odgłos kroków, potem dwa głosy męskie.

Kroki i głosy zbliżały się. Fanfreluche słuchał nieporuszony. Nareszcie głosy zupełnie stały się wyraźne.

— A więc pustelnik umarł — mówił głos pierwszy.

— Przed trzema dniami mój chłopcze.

— A długo był tutaj?

— Przynajmniej z piętnaście lat. Ale jak jeden umrze, zaraz znachodzi się drugi.

— Czyż to możliwe ojcze Guillet?

— Jak słyszysz mój chłopcze.

— Musicie wiedzieć lepiej odemnie, gdyż jesteście tutejsi.

— Nie jestem ja z tąd wprawdzie, jestem z okolic de Sens — mówił głos pierwszy — ale już lat trzydzieści jestem strażnikiem w Courson, i od lat trzydziestu zawsze widzę grotę pustelnika zamieszkałą.

Z tych słów Fanfreluche dowiedział się, że byli to dwaj strażnicy leśni, młody i stary, i że młody był zapewne obcokrajowcem.

Fanfreluche uznał za stosowne nie pokazywać się z za krzaków. Jakkolwiek strażników leśnych nie obchodzą nic złoczyńcy, jednak czasem bywają niektórzy z nich ciekawi, i mogą zarządać papierów od ludzi podejrzanej powierzchowności, których spotykają na drodze.

Stary strażnik mówił dalej:

— Grota Wilcza była zawsze mieszkaniem pustelników, i służy im już przeszło od lat dwustu. Gdy jeden pustelnik umrze, przychodzi drugi.

— Z kądże się zjawia?

— Nie wiedzieć. Gdzieindziej może nie ma tego rzemiosła, ale u nas istnieje. Żebrak ubiera się w suknie pielgrzyma, okrywa głowę kapiszonem, przyczepia wielki różaniec do sznura i idzie prosić o jałmużnę po wsiach i miasteczkach.

— Zdaje mi się jednak, że ludzie w tej okolicy nie są bigoci — odrzekł młody strażnik.

— Tak, nie kłaniają się bardzo księżom, ale szanują pustelników. Pustelnik odpuszcza grzechy, leczy bydło. Ten, który umarł i którego pochowano wczoraj rano w Fontenay, leczył rozmaite wywichnięcia. Trzeba było widzieć, wiele ludzi było na jego pogrzebie!

— Czy pochowano go tak jak żył, w habicie?

— Nie, zostawiają zawsze habit, kij długi, różaniec i wielki kapelusz w grocie Wilczej.

— A na cóż to, ojcze Guillet?

— No! ależ dla następcy.

— Jeżeli będzie jaki...

— Gdy się dowiedzą, że pustelnik umarł, znowu przyjdzie inny. Zawsze znajdzie się jakiś próżniak, który woli żebrać niż pracować.

Idąc tak i rozmawiając, przechodzili koło krzaka, za którym ukrył się Fanfreluche.

Ten wstrzymywał oddech. Gdyby mieli ze sobą psa, ten byłby zwietrzył galernika. Ale oni szli szukając kłusowników, a psy zupełnie niepotrzebne do tej obławy.

Jeden ze strażników otarł się prawie o krzak. Fanfreluche drgnął ale się nie ruszył. I strażnicy szli dalej, nie domyślając się bytności istoty ludzkiej tak blisko nich.

Starzec słyszał jak się oddalali, a w miarę jak słabł odgłos ich kroków, mówił do siebie:

— A gdybym też nie powrócił na galery? Miałbym dobrą sposobność ukryć na zawsze galernika Fanfreluche pod suknią pielgrzyma.

Myśl ta uśmiechała się doń przez chwil kilka.

— Lecz gdzie była grota Wilcza? Nie wiedział, ale gdyby poszukał dobrze, w końcu by ją znalazł.

Nagle obraz pani de Planche-Mibray przesunął się przed oczyma jego duszy.

— Nie, nie — szepnął — byłbym jeszcze za blisko niej! Muszę wracać na galery.

Czekał jeszcze chwil kilka. Odgłos kroków i głosy ucichły, a las stał się znowu milczący i cichy.

Fanfreluche wstał, wziął kij i zaczął iść z biegiem strumyka. Jednakże nic łatwiejszego jak zgubić się

w lesie. Nieraz ktoś sądzi, że idzie na północ, gdy przeciwnie kieruje się na południe. Fanfreluche zmylony biegiem strumyka, sądził, że idzie prosto do Fontenay, a nie spostrzegł się, że strumyk skręcał się nieznacznie i prowadził z zachodu na wschód.

W marcu dnie są już dość długie, jednak o czwartej rano noc jeszcze panuje. Było to właśnie koło czwartej, gdy Fanfreluche spostrzegł, że las rzednieje i światło jakieś ujrzał za drzewami.

— Zdaje mi się, że jestem na krańcu lasu — mówił sam do siebie — a światło to błyszczy pewnie z jakiegoś folwarku na terytorjum de Fontenay.

Przyspieszył kroku i poznał wkrótce, że byłto rzeczywiście już koniec lasu.

Ale jakie było jego ździwienie, gdy poznał, że od dwóch godzin szedł w kierunku zupełnie przeciwnym. Zamiast iść na zachód, wrócił na wschód i znajdował się koło tej doliny dzikiej, na pochyłości której wznosił się dom Balthazarów. Światło, które błyszczało, pochodziło z ich domu. Rodzina Balthazarów była jak mówiono ptakami nocnemi. Kłusownicy, złodzieje i mordercy, szeptali z cicha, że ludzie ci dobrze widzieli w ciemności.

— Może mordują jakiego nieszczęśliwego podróżnego! — szepnął do siebie Fanfreluche.

I usiadł na brzegu lasu, namyślając się, którędy ma się skierować.

Czy pójść drogą koło Mailly, którą szedł już i gdzie spotkał Szymona Balthazara, czy też wrócić się napowrót przez las, którędy teraz przyszedł.

Wahał się jeszcze, gdy nagle krzyk dziwny usłyszał. Krzyk podobny do krzyku ptaka nocnego. W tejże samej chwili drugi krzyk podobny dał się słyszeć. Był to jak gdyby sygnał odpowiadający, a sygnał ten pochodził z domu Balthazarów. Nie był to jednak krzyk ptaków nocnych.

W tejże samej chwili, światło, które błyszczało za szybami brudnemi oberży, zgasło nagle. Fanfreluche rozciekawiony czekał i słuchał.

Wkrótce usłyszał odgłos kroków w lesie. I znów przyłożył ucho do ziemi. Podobny odgłos drugich kroków usłyszał w dolinie. Widocznie człowiek jakiś wyszedł z oberży pod Sową, na schadzkę z drugim, który przychodził z lasu.

Chociaż czas był pochmurny, księżyc chwilami rozjaśniał ciemności. Ale teraz księżyc schował się zupełnie i noc była ponura i czarna.

Położywszy się u stóp drzewa, Fanfreluche, byle się nie ruszył, nie obawiał się być spostrzeżonym. Kroki zbliżały się z obu stron ku temu miejscu. Nawoływanie powtórzyło się raz jeszcze, już w niewielkiem oddaleniu od przyczajonego starca.

Nareszcie człowiek jakiś ukazał się w dolinie. Potem drugi o dwadzieścia kroków od galernika, na krańcu lasu.

Fanfreluche nieporuszony patrzył i słuchał. Ludzie ci zbliżyli się do siebie.

— Czy jesteście tym, którego oczekuję? — zapytał ów, który wyszedł z lasu.

— Nazywam się Michał Balthazar.

— Czy otrzymaliście list datowany z Paryża?

— Otrzymałem.

— W którym pisano wam, że człowiek imieniem Munito, przyjdzie do was pomówić o Paryżaninie?

— Tak.

— I zaproponować wam dobry interes?

— Wiem.

— A więc ja jestem Munito.

Fanfreluche nie stracił ani słowa z tej rozmowy, a poznawszy natychmiast głos swego syna przybranego, zaczął przysłuchiwać się uważnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

# WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Myśl, iż jego rozmowa z Aliną, mogła mieć świadka wcale nie pożądanego, skłoniła go do rzucenia wzrokiem na przechodzącego. Naraz drgnął nerwowo i o krok cofnął.

— Hrabia de Sénonnes?! — wykrzyknął, nadając swojemu zdziwieniu ton nadzwyczaj uprzejmy i serdeczny. — Byłem pewny, że hrabia bujasz już po oceanie, stąd o mil tysiące!

— A ja przeciwnie — Gaston nie ujął wcale dłoni, którą mu najgrzeczniej podano — wiedziałem, że książe w Rzymie bawi, i szukałem go nawet od pewnego czasu.

— Można mnie było przecież znaleźć z wszelką łatwością — odrzucił książe, ostrzeżony tonem suchym i zaczepnym, że rozmowa nie ograniczy się na wymianie grzecznostek zdawkowych.—Mieszkam w hotelu **.

— Spodziewam się, iż książe tam dłużej mieszkać nie będziesz... Jeżeli pragnąłem się z nim zobaczyć, to tylko po to, aby księcia o wyjazd stąd poprosić.

— Doprawdy? — książe wzruszył litościwie ramionami. — Żałuję bardzo!... bawię się tu atoli wybornie i ani myślę stąd się ruszyć tak rychło.

— Zobaczymy to jutro! — odrzucił Gaston głosem drżącym i ochrypłym.

Brała go chęć szalona wypoliczkowania tego człowieka.

— Pojutrze, jeżeli łaska — książe uśmiechał się z tą wyższością, drażniącą okropnie, a którą daje nam panowanie nad samym sobą. Przeczekał jakieś liczne angielskie pokolenie, które zalegało aleję w całej tejże szerokości, a gdy przeszli, tak przemówił:

— Szukasz hrabio zaczepki, w czem nie masz bynajmniej słuszności. Będą o tem dużo mówili, komentowali, a nie wiem, czy to wyjdzie komukolwiek, w tej

sprawie interesowanemu, na pożytek. Zastanów się pan póki czas. Co do mnie, jestem gotów zapomnieć słowa nierozważne, które ci się wyrwały.

— Postaram się zatem odświeżyć takowe w pańskiej pamięci! — krzyknął Gaston nie posiadając się w gniewie.

— Dość tego panie, dość! nie potrzeba aż takich gwałtów! — książe dumnie się wyprostował. — Będziesz miał wszelką satysfakcję!

Po ukłonie nader lekkim, na który Gaston zaledwie głową skinął, odszedł książe z przeświadczeniem nader przyjemnem, iż zachowanie się jego w tej sprawie, było całkiem po formie, gdy przeciwnie mąż obrażony, ten małżonek, który nie był nim właściwie, chociaż rościł sobie prawo do podejrzywań, śledzeń i drażliwości męża prawdziwego, otóż ów jegomość okrył się poprostu śmiesznością!

— Co za pomysł dziwaczny! — powtarzał w duchu, cokolwiek tą historją pomięszany. — Okazywać się zazdrosnym w położeniu podobnem! Ależ to najwyższa niedorzeczność! Dla mnie zaś jest to bądź jak bądź kłopotliwem! — mruczał dalej gryząc w zębach ściśniętych cygaro. — Zabiję go... oddam tem wprawdzie wdowie nie lada przysługę, prosta jednak przyzwoitość wymaga w takim razie, aby krew wylana, stanęła między nami wieczną zaporą. A jeżeli on mnie zgładzi? Nie! dać się zabić, gdy mam tak ważne powody przywiązywać się do życia, toby było nadto wielkiem głupstwem! Eh! czy to zaraz trzeba w pojedynku ginąć lub zabijać! Gdybym miał tak szanse być dla niej ciężko rannym, toby mi zapewniło tryumf ostateczny! Jest on i tak pewnym bez najlżejszego zadraśnięcia! Zwycięstwo na wszystkich punktach, z szybkością olśniewającą! Cudownie!... — roześmiał się śmiechem młodym, roskosznym. — Wrażenia mnożą się, czuję że żyję, i to w sposób dziwnie przyjemny, ja, który byłem przekonany, żem skończył ze wszystkiem! Ona mi się oddaje, on chce mi ją wydrzeć, zawsze boska niespodzianka!...

## XVIII.

Nazajutrz o godzinie oznaczonej książe błądził po nawach bocznych kościoła San Carlo, czekając, aż Alina klęcząca przed wielkim ołtarzem, gdzie ksiądz odprawiał mszę cichą, skończy modlitwy. Chociaż liczne podboje serc niewieścich we Włoszech, oswoiły go z ową ciekawą i zmysły podbudzającą mięszaniną praktyk religijnych z porywami namiętnemi czysto ziemskich uczuć, podobna profanacja miejsca świętego i naznaczanie tamże schadzki miłosnej, byłoby go może zdziwiło ze strony Aliny, gdyby od wczoraj nie był postanowił nie dziwić się więcej niczemu! Kościół był naprzeciw hotelu, wystarczało zatem przejść przez ulicę, aby dostać się do jego wnętrza. Było też to miejsce jedyne, dokąd młoda kobieta, która w niczem nie zmieniła zwyczajów panieńskich, udawała się sama. Gdzież więc miała naznaczyć schadzkę, którą chciała zachować w tajemnicy, aby nie ściągnąć nią podejrzeń i komentarzy niepotrzebnych? Po cóż atoli taka żarliwość, na co tak długich modłów? Nie szkodaż czasu straconego? Zaczynało to wreszcie księcia niepokoić. Zdecydowawszy się zstąpić z piedestalu i upaść w jego ramiona, czy prosiła Boga naprzód o przebaczenie słabości, czy też wahając się jeszcze, błagała o pomoc, aby nie uledz pokusom miłosnym?

Msza odprawiała się zwykłym trybem. Aby nie ściągnąć na siebie uwagi kilku nabożnych, rozprószonych nielicznie po kościele, najbogatszym może co do ozdób, choć najmniej pięknym z całego Rzymu, książe udawał wielkie zajęcie, i przypatrywał się po kolei gzymsadom malowanym i wyzłacanym, marmurom przepysznym i obrazom w bocznych ołtarzach. Pod pozorem podziwiania w wielkim ołtarzu arcydzieła malarza Maratti „Św. Karol Boromeusz, przedstawiany Chrystusowi przez matkę Bożą“, zbliżał się od czasu do czasu do Aliny, schylonej nad klęcznikiem i w modłach zatopionej. Nadaremne były wszelkie usiłowania, gdyż modląca się wcale głowy nie podnosiła. Słuchał więc z roztargnieniem odgłosu dzwonka i cichego szmeru przed ołtarzem słów księdza i odpowiedzi do mszy służącego, myśląc w duchu: „Kokietka! jak mi każe długo czekać, choć wie, że usycham z niecierpliwości!“ Ksiądz odszedł wreszcie od ołtarza i znikł w drzwiach od zakrystji i Alina podniosła się z klęczek, aby wyjść z kościoła. Przy kropielnicy czekał na nią książe z wodą święconą, w postawie pełnej uszanowania. Gdy dotknęła się kropidła, które jej podawał, ukłonił się bardzo nisko, w uśmiechu jednak i w spojrzeniu malowała się lekka wymówka, iż tak nadużyła jego cierpliwości. Z uśmiechem trochę wprawdzie smętnym powitała go również Alina i wsunęła rękę pod jego ramię, nie zwracając uwagi, iż nadto może namiętnie przyciska tę rączkę do piersi. Skierowała kroki swona drogę do Corso prowadzącą.

— Spodziewam się, iż Bóg, do którego wysyłałaś pani modły tak długie i strzeliste, natchnął cię myślą, abyś się raz zlitowała nademną! — przemówił książe, przekonany, iż będzie to taktyką najzręczniejszą, okazywać się dalej pełnym poddania i szacunku najgłębszego, tem bardziej, iż ona niejako brała w tej sprawie inicjatywę.

— W każdym razie dodał mi Bóg odwagi, aby wynurzyć się przed panem szczerze i otwarcie — odrzuciła poważnie, patrząc na niego swojemi pięknemi, spokojnemi oczami.

Znowu przycisnął jej rękę silniej ramieniem, i pełen najsłodszej nadziei, czekał wyznania, iż zwyciężył. Słowo jedno częstokroć za śmiałe, lub niezręcznie wymówione, może popsuć szyki i cofnąć na długo tryumf ostateczny. Jeżeli kiedy, to w takiem położeniu „milczenie jest ze złota“ — jak mówi mędrzec arabski — i najlepiej okazywać niepewność, pomięszanie, tak pochlebne dla tej, która je wzbudza, i do tego w człowieku światowym, doświadczonym, nie tak łatwym do

zakłopotania się czemkolwiek. Nie było zresztą przesady w postawie pokornej i lękliwej księcia. Był naprawdę wzruszony, rozgorączkowany, po nocy bezsennie spędzonej. Ufny w swoją gwiazdę szczęśliwą, pozwolił kierować sobą Alinie, która dążyła na Corso, prawie puste o tej godzinie. Magazyny zaledwie gdzieniegdzie się otwierały, a nader nieliczni przechodnie, spieszyli do rzemiosł, pracowni, lub innych tym podobnych zatrudnień. Teraz czekał, aby Alina pierwsza zaczęła.

— Muszę — głos jej był z razu drżący i mówiła z pewnem wahaniem, lecz tonem łagodnym, prawie czułym — muszę najprzód przeprosić pana, żem go źle osądziła. Nie dowierzałam panu, myślałam, iż byłbyś w stanie nadużyć przez naganną lekkomyślność, położenia wielce drażliwego kobiety młodej, która nie będąc ni wdową ni mężatką, winna zachować większą niż każda inna w postępowaniu ostrożność i przezorność.

Książe giestem patetycznym dał poznać głęboką boleść niewinności tak srogo pokrzywdzonej.

— Nasza atoli wczorajsza rozmowa oświeciła mnie zupełnie — zaczęła na nowo z żywością. — Zrozumiałam, iż w mojem niedoświadczeniu w sprawach tego rodzaju, posądziłam pana niesłusznie, pojęłam, iż w pańskich uczuciach nie ma dla mnie nic obrażającego, przeciwnie, mogę być dumną, żem takową wzniecić potrafiła, skoro jest twojem życzeniem, w razie gdybym wolną była, co przypuszczasz pan, iż mogłoby w krótce nastąpić, prosić... żądać... czy dobrze zrozumiałam?... abym została...

— Księżną Druckoj! jak jesteś oddawna królową serca mojego, panią wszechwładną myśli moich! — przerwał jej z zapałem, który jest jedną więcej ponętą u ludzi zmysłowych, kierujących się przeważnie chwilową fantazją. W charakterze i usposobieniu księcia były sprzeczności niesłychane, podług tego jak okoliczności bieżące na niego oddziaływały, poruszając w sercu tę lub ową strunę. Tego ranka libertyn w nic niewierzący, obudził się entuzjastą, niewiniątkiem! przedewszystkiem zakochanym szalenie i gotowym nawet zaślubić tę kobietę przed ołtarzem, jeżeliby pod tym tylko warunkiem chciała do niego należeć.

— Otóż po takiem wyznaniu zdało mi się, iż dwie tylko drogi mi pozostają, bądź utwierdzić pana w złudnych nadziejach, co atoli jest niepodobieństwem, lub nie widzieć go więcej, coby mi znowu przyszło z wielką trudnością, od kiedy nauczyłam się cenić pańską przyjaźń nader wysoko.

— Dokąd ona dąży? — myślał książe, zauważywszy, iż mówi powoli, słowa dobierając, z nadzwyczajną przezornością, jakby się lękała, by nie powiedzieć za mało, lub za wiele. — Po co tu tak długiej tyrady, skoro jedno słówko mogłoby wystarczyć!...

— Jedynym sposobem, aby wszystko pogodzić — przerwała mu bieg myśli Alina, mówiąc dalej po chwili milczenia — będzie z mojej strony zdradzenie przed panem tajemnicy, o której nikt dotąd nie wie, z którą myślałam iż pójdę do grobu, a która wytłumaczy dostatecznie, dla czego nie mogę panu być niczem więcej, tylko dobrą i szczerą przyjaciółką. Kocham z duszy całej, kocham mimo krzywd mi wyrządzonych, tego, który miał być moim mężem... Oh! nie mów mi pan, że to jest niemal podłością — wykrzyknęła, widząc księcia ruch gwałtowny, który dotknięty do żywego, nader niemiłem zwierzeniem, o krok się cofnął. — Wiem o tem sama najlepiej, wstydzę się, wymawiam to sobie, radabym ukryć przed światem całym, przed własnem sercem, a jednak jest to prawdą niezbitą!... Oddałam się cała, i nie umiałam się nazad odebrać, przysięga wykonana związała mnie na zawsze, mimo iż druga strona tejże nie dotrzymała. Pan de Sénonnes w Ameryce, gdzie zapewne gości obecnie, nie dowie się o tem nigdy. Tem lepiej! Byłabym w rozpaczy, gdyby mógł się domyślеć czegoś podobnego. Zostanę jednak wierną, jeżeli nie jemu, te pierwszemu mojemu marzeniu młodocianemu, pierwszej miłości, która będzie i ostatnią, bo kochać prawdziwie, można raz tylko w życiu! Jeżeli nasze małżeństwo będzie kiedy unieważnione, to chyba na jego żądanie, i on sam z tego skorzysta. Co do mnie, zostanę wdową, gdyż chcę nią pozostać. Wszyscy mężczyźni są mi obojętni, prócz jednego... a ten mną pogardził...

Mówiła tak prędko, iż książe nie zdołał przerwać słów potoku, chociaż próbował to kilka razy. Dopiero gdy skończyła, odezwał się głosem przez gniew stłumionym:

— To, co mi pani raczysz mówić w tej chwili, nie licuje bynajmniej ze zdaniem, które wypowiedziałaś z całą stanowczością przy pewnej okazji decydującej, nie tak dawno temu... Wtedy miałaś pani więcej dumy i poczucia własnej godności!

— Gdym odpowiedziała jego matce, że nie przebaczę nigdy, nawet zdaleka? Nie, przebaczyć mu nie mogę, ale go kocham i dlatego o przebaczeniu mowy być nie może. Aby przebaczyć, potrzeba krwi zimnej, spokoju zupełnego, czego ja nie posiadam. Burzę się i cierpię, i to mnie robi nieubłaganą. Tego dnia, kiedy wyrażałam się o nim tak surowo, tak lodowato, kłamałam, kłamałam przez dumę, bo jestem dumną i bardzo nawet! Osądź że pan, ile potrzebowałam przezwyciężenia, aby odkryć przed tobą tajemnicę słabości niegodnej, która poniża mnie w oczach pańskich, jak i w moich własnych. Wczoraj nie znalazłam na razie dość odwagi, myślałam, iż nigdy nie potrafię wypowiedzieć głośno tego, o czem nawet myśleć się lękam. Powiedziałam sobie jednak, iż tym tylko sposobem postąpię względem pana, szczerze i uczciwie. Jesteś dobrym, pełnym uczuć najszlachetniejszych, uznałam cię więc godnym tak wielkiej ofiary, którą nie wątpię, iż ocenić potrafisz. Zrazu będziesz pan trochę cierpiał, to pewna, później atoli będziesz mi wdzięcznym za otwartość, której nawet w obec siostry pańskiej nie miałam. Największy to dowód szacunku, jaki panu dać mogę w zamian za uczucia, któremi mnie zaszczyciłeś, a na którę nie mogę odpowiedzieć, jak tylko

przyjaźnią, przyjaźnią serdeczną! — dodała ze słodkim uśmiechem, opierając dłoń na jego ramieniu ruchem pieszczotliwym, i podniósłszy na niego oczy łzami zamglone, niespokojne, czy mimo tego wszystkiego, nie nazwie jej niewdzięczną...

Dobroć jej anielska i luba prostota, odbijały się w twarzyczce, zarumienionej nadludzkim wysiłkiem. Książe załkał głucho, bezprzytomny prawie z gniewu i bolu wściekłego. Nigdy może tak nie pojął, ile wart skarb, na który czyhał od dawna, jak tracąc go na zawsze, i to w chwili, gdy był pewnym, że potrzebuje wyciągnąć tylko po niego rękę pożądliwą. Lęk jednak, aby nie wydać się śmiesznym, wrócił mu prędko krew zimną i ten spokój cokolwiek pogardliwy, który umiał zatrzymać pozornie, i przeważnie nawet wtedy, gdy czuł w łonie burzę namiętną. Zauważył z odcieniem goryczy i sarkazmu, iż powiernik nie powinien by właściwie nigdy mówić o sobie i że skazany przez nią do tej roli podrzędnej, nie może być na razie o tyle wdzięcznym, o ile być by powinien za wielki zaszczyt, który raczyła mu wyświadczyć, powierzając tak dziwną tajemnicę. Spróbował nawet kilkoma słowami zjadliwemi, dotknąć przeszłości dla niej upokarzającej i zbuntować ją niejako przeciw uczuciu, które ona pierwsza słabością i niemal nikczemnością nazywała.

Przerwała mu z uśmiechem bolesnym:

— Jeszcze raz panu powtarzam — ciężko westchnęła — iż powiedziałam sobie pod tym względem, cokolwiek byś pan potrafił powiedzieć najdosadniejszego!

I książe zamilkł, widząc, że nawet rozgniewać jej nie potrafi. Czuł się zranionym do żywego w swojej próżności, czuł się pokonanym, zręcznością, nieświadomą samej siebie, u tej dziewczynki niedoświadczonej, którą zaczynał tak szczerze nienawidzieć, jak pierwej kochał z zapałem, a raczej którą kochał i nienawidził jednocześnie, z równą do szału dochodzącą namiętnością. Uczciwość wrodzona doskonale natchnęła Alinę. Gdyby była cokolwiek kokietką, jak ją posądzał, lub tylko skrytą i nad miarę nieśmiałą, gdyby była próbowała lawirowania, wykrętów, broni tak często przez kobiety używanej wobec męskich wybuchów namiętnych, byłaby padła ofiarą chytrzejszego od niej i doświadczeńszego. Cóż atoli pomoże chytrość najzręczniejsza i wszelkie wybiegi w obec czynu heroicznego duszy szlachetnej, gotowej odkryć myśli i uczucia najskrytsze, aby tylko odepchnąć hołdy niewczesne, któremi jednak szczycić się zdawała. Nic podobnego nie spotkało księcia w długiej jego karjerze miłosnej, nie dziw więc, że dał się złapać, zaskoczony tak niespodziewanie.

Wrócili oboje w milczeniu, od kolumny Marka Aureljusza, do której byli doszli rozmawiając, nazad do hotelu. Byli od tegoż zaledwie o kilka kroków oddaleni, gdy książe przemówił wreszcie głosem drżącym:

— Nie przypuszczasz pani zapewne, ażebym zgodził się z moim losem tak nagle, abym przeszedł od nadziei, którą zostawiłaś mi na dwadzieścia cztery godzin, do cichej, spokojnej rezygnacji! Pani, która tak umiesz pamiętać, nie zechcesz przecie, abym tak łatwo zapomniał, z dziś na jutro, i został tylko przyjacielem, kiedy nie dawniej jak wczoraj, upoważniłaś mnie prawie, do marzeń wcale innych.

— Skoro pan uznajesz taką zamianę niepodobieństwem — odpowiedziała Alina łagodnie, ale z całą stanowczością — musimy wyrzec się stosunków wzajemnych i zażyłości, która odtąd stanie się niemożliwą. Zrozumiałeś to pan, nieprawdaż? Opuścisz Rzym przed nami... natychmiast...

— Pani — odrzucił książe zimno i wyniośle. — To, czego pragniesz dzisiaj, żądano odemnie wczoraj już, i chociażbym chciał uczynić zadość twojej prośbie, nie zważając, ile by mnie ta ofiara kosztowała, muszę odmówić tamtemu brutalnemu rozkazowi.

— Żądano, abyś pan odjechał? — wypatrzyła się na księcia zdziwiona. — Któż wydał taki rozkaz?

— Tam oto stoi! — książe wskazał głową i wzrokiem Gastona de Sénonnes, który opierał się nieruchomy o jedną z arkad hotelowych.

Alina zwróciła również oczy w kierunku wskazanym, krzyknęła i ruchem instynktowym wyciągnęła do księcia ręce, jakby u niego szukała obrony przed tem zjawiskiem złowrogiem. Potrzebna jej była pomoc istotnie, gdyż w tej chwili zachwiała się i bez ramion księcia, które ją przytrzymały, byłaby na ziemię upadła zemdlona.

— Pani de Sénonnes nagle zasłabła — skinął książe na służbę hotelową, która przed dom wybiegła. — Pomóżcie mi zanieść ją na górę.

Skoro oddał zemdloną swojej siostrze i miss Ruth, nie starając się bynajmniej wytłumaczyć powodu wypadku, zbiegł pędem na dół, uniesiony instynktem namiętnym drapieżnika, który straciwszy na chwilę z oczu zdobycz upatrzoną, wraca z wściekłością podwójną aby ją rozedrzeć. Widok rywala, po zwierzeniach Aliny, oddziałał na księcia tak prawie, jak gdyby został wypoliczkowanym. Musiał pomścić na kimkolwiek, zawód tak gorzki i bolesny! a czyż mógł znaleźć do tego porę sposobniejszą? Był przekonanym, że i pan de Sénonnes nie zechce opuścić tak dobrej sposobności, i że go zastanie tam gdzie go zostawił. Istotnie Gaston pozostał na miejscu jakby wrósł w ziemię.

— Nareszcie! — odezwał się tonem głuchym i stłumionym, podchodząc do księcia. — Przyszedłem przypomnieć panu sprawę, która, o ile mnie by się zdawało, powinna była wyprzedzić wszelkie inne. Moi sekundanci — wymienił malarza i Henriona, który jakby coś przeczuwał, przybył także do Rzymu — moi sekundanci czekają od wczoraj na świadków pańskich, aby z nimi wejść w układy.

Druckoj nazwał również na chycił trafił dwóch znajomych z poselstwa rossyjskiego, których zamierzał dopiero uwiadomić.

— Czyś pan zdecydowany, jakiego rodzaju ma być obraza w oczach świata? — mówił książe dalej. — Bo

nie spodziewam się, abyś chciał nadwerężyć tą całą sprawą, cześć i dobrą sławę pewnej osoby?...

Przechadzali się tam i nazad po ulicy, naprzeciw hotelu, rozmawiając tak spokojnie, jakby najlepsi przyjaciele. Szwajcar i reszta służby hotelowej, przypatrując im się z daleka, nie powzięli najmniejszego podejrzenia, żeby ta rozmowa miała jaką styczność z omdleniem Aliny.

— Nie może tu być mowy o dobrej lub złej sławie osoby przez pana wzmiankowanej — Gaston zimno odrzucił. — Mogą jedno tylko powiedzieć: żeś pan poświęcił się, aby ją z więzów uwolnić, a że podobne poświęcenie nie może być, jak tylko w duchu rycerskim spełnione i całkiem bezinteresowne — położył nacisk na słowo ostatnie — przyniesie więc panu zaszczyt tylko... i rzeczy skończone!

— Dobrze, jeżeli pana zabiję, a gdyby...

— W razie przeciwnym — Gaston zdawał się traktować nader lekko to drugie przypuszczenie, jakby nie warto było nad niem się zastanawiać — dzienniki ogłoszą, iż pojedynkowaliśmy się z powodu artykułu Marka Seweryna o nihilizmie, który wydał się panu dla Rossji ubliżającym. Nie czytałeś go pan wprawdzie, ale mniejsza o to...

— Doskonale! — książe skinął głową. — Oto powód jedyny rozprawy, który naszym świadkom podamy.

Ukłonili się nawzajem jeden drugiemu, poczem Gaston się oddalił.

Alina tymczasem zmysły odzyskała. Wyciągnęła naprzód ramiona, jakby chciała widmo straszliwe odepchnąć i krzyknęła: — On jest tutaj, widziałam go... jest tu! — W okropnem pomięszaniu, zaczęła opowiadaż o wszystkiem pani de Vesore, bez związku i ładu. Musiała przyznać się do miłosnego księcia wyznania, do schadzki z nim w kościele, aby wytłumaczyć spotkanie Gastona, i to, co potem nastąpiło. Podczas opowiadania powtarzała bez ustanku:

— Trzeba stąd odjechać... jeszcze tego wieczora... odjechać natychmiast!... Oh! po coś mnie tu sprowadziła?... Przebacz! przebacz, droga przyjaciółko! Nie spodziewałaś się... nie mogłaś przecie odgadnąć... sama nie wiem co plotę! Jesteś tak jak i ja tem przerażoną.

Olga wielce zawstydzona ufnością, na którą tak mało zasługiwała, milczała uporczywie. — Nici intrygi — myślała w duchu — plątały jej się w dłoni haniebnie! Była w położeniu dziecka, które bawiąc się ogniem nierozważnie, widzi naraz z wielkiem przerażeniem, dom cały w płomieniach.

— Uspokój się Alinko! — wyszeptała nakoniec — uspokój się, odjedziemy kiedy zechcesz... nikt istotnie nie mógł tego przeczuć... przewidzieć...

Wieczór jednak potrafiła przekonać Alinę, że obie są nadto osłabione po wstrząśnieniu tak gwałtownem, aby puszczać się w podróż natychmiast. Alina co prawda przez dzień cały z łóżka nawet nie wstała. Przedewszystkiem pragnęła Olga zobaczyć się z bratem, który dotąd do domu nie wrócił, i którego nigdzie odszukać nie mogli. Doświadczeńsza niż Alina w sprawach tego rodzaju, przewidywała starcie gwałtowne pomiędzy tymi ludźmi, i pospieszyła na wszelki wypadek męża zawezwać. Telegram zaniósł panu de Vesore te słowa:

„Sprawa ważna. Przybywaj natychmiast."

Zastanowiła się jednak depeszę wysławszy, nie bez serca ściśnienia, że jeżeli sprawa pójdzie zwykłym trybem, Alberyk przyjedzie za późno, aby takową załagodzić. Co do niej, cóż mogła zrobić? Wpłynąć na brata, oto wszystko! Ufała wprawdzie, że wywrą wpływ na niego jej prośba gorąca i jej pieszczoty, ale najprzód trzeba było go zobaczyć.

Dzień wydał jej się długim bez końca! O szóstej wieczór, dał znać książe bilecikiem, że nie może jeść z niemi objadu. — Widocznie — pomyślała — stara się mi wymknąć! — Zostawiwszy zatem Alinę pod opieką miss Ruth, i nie chcąc tejże drażnić własnym niepokojem, budzącym się w niej w skutek obaw i przewidywań, które na szczęście nie miały przystępu do umysłu Aliny, wymknęła się cichaczem pod wieczór z silnem postanowieniem czatowania po drzwiami brata, póki do domu nie wróci. Weszła z nim niemal równocześnie.

— Jakto?! nie przyszedłeś nawet powiedzieć mi dobranoc? — zawołała tonem czułej wymówki. — I to po śniadaniu i objedzie zjedzonym nie zemną? Wiem! wiem! że to było coś niespodzianie zaimprowizowanego, tem bardziej mi się nie wykręcisz. Jestem wielce ciekawą. Gdzież to było? z kim?... w mieście czy za miastem, w jakiej Osterji?

— U Kossakowa, którego poszedłem odwidzieć, jak to od dawna było moim zamiarem — książe nazwał od niechcenia sekretarza rossyjskiej ambasady, a jednego z swoich świadków. — Zatrzymał mnie gwałtem na resztę dnia i poszliśmy...

— Oh! nie chcę słyszeć o sprawkach i wycieczkach dwóch takich jak wy lampartów!... Wiele jednak zmian zaszło u nas pod twoją niebytność... Czy wiesz, że odjeżdżamy wszyscy jutro do dnia.

— Wszyscy?

— No tak, ja i Alinka... i ty ma się rozumieć z nami, skoro staliśmy się nierozłączeni. Cóż byś ty począł bez nas, mój biedny Szaszo?

— Zapewne, iż byłbym godnym pożałowania — odrzucił tonem lekkim i wesołym, jakim siostra starała się pokryć trawiący ją niepokój, przyczem patrzył jej w oczy z pewnem niedowierzaniem i urazą — najmilsze atoli chwile trwać wiecznie nie mogą i jeżeli wyjedziemy, jak powiadasz, to najprawdopodobniej, każdy w swoją stronę.

— Dla czego? Cóż ci przeszkadza wracać z nami? — spytała Olga z trwogą rosnącą. Zrozumiała, iż daremna byłaby z nim walka, kto kogo prześcignie w chytrości i przebiegłości, dla tego przypuściła atak śmiały, nie obwijając nic w bawełnę:

— Czy przypadkiem nie przeszkadza ci do wyjazdu pan de Sénonnes?

— Pan de Sénonnes? — powtórzył Druckoj, a źrenice jego świecące blaskiem fosforycznym, zwęziły się nagle, jak u węża rozdrażnionego. — Nie przypuszczałem, iż wiesz o jego tu bytności...

— Nic dotąd nie wiedziałam — Olga odrzuciła z efronterją. — Teraz jednak wiem, żeście spotkali się z nim dziś rano.

— Ah!... powiedziała ci więc!... czy i resztę?...

— Alina?... nie powiedziała mi nic więcej, ale i tego było dosyć, aby mnie zatrwożyć.

— Czegoż się lękasz?

— Wszystkiego! Tak, bałabym się wszystkiego, gdybym nie była przekonaną, iż nie potrafiłbyś zgubić kobiety, zniszczyć jej przyszłość całą, aby tylko dogodzić niedorzecznej, urojonej drażliwości, na punkcie honoru...

— Cóż więc przypuszczasz? Pan de Sénonnes, widział mnie prowadzącego pod rękę żonę jego z kościoła; myślę, iż nie miał powodu zgorszyć się czemś podobnem; co do mnie, nie zwróciłem prawie uwagi na to spotkanie; znam go tak mało!... Zdaje się, iż tylko pani de Sénonnes, wzięła tę rzecz tragicznie, skoro omdlała.

— Biedne dziecię! ty bo nic nie wiesz Szaszo!... To, co ci powiem, powinno cię wstrzymać od wszelkich kroków zaczepnych, względem pana de Sénonnes, gdyby nawet ten mąż, tak bardzo występny, chciał się zabawić w zazdrosnego. Znam go tak dziwacznym i niekonsekwentnym, iż w postępowaniu nawet coś podobnego mogłabym przypuścić... Alina męża kocha!... nigdy go kochać nie przestała!... ubóstwia go!

— A! wiedziałaś o tem, i tak to dobrze ukrywałaś! — wycedził przez zęby ściśnięte.

Potwierdzenie wyznania Aliny wstrząsnęło nim, jak gdyby dotknięto się nierozważnie rany bolesnej i dotąd krwawiącej. Przypuściwszy, iż posądził Alinę o wybieg, aby uchronić się od pokusy i oddalić go, zmuszając raz na zawsze do milczenia, obecnie wszelka wątpliwość pod tym względem ustawała. Jak też Olga mogła zostawić go w śmiesznej roli wzdychającego nadaremnie amanta, zamiast oświecić go odrazu, iż nie ma tu dla niego nic do zyskania, iż na drzwiach Aliny, wola jej własna wypisała słowa Dantego: „Lasciate ogni speranza, voi che entrate“.

— Wiedziałaś więc o tem? — powtórzył raz jeszcze z naciskiem.

— Nigdy mi się z tem nie zwierzyła, domyślałam się jednak od dawna...

— Możeś w tym razie postąpiła nierozważnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — wyjąkała silnie zarumieniona.

— Iż nie godzi się igrać z pewnemi uczuciami, i z pewnymi ludźmi, nawet gdy się jest tak sprytną, jak ty kobietą.

— Nie rozumiem! — szepnęła w najwyższym stopniu pomięszana. Zrozumiała istotnie to tylko, iż partję w obec niego przegrała, i że nic jej więcej nie pozostaje, jak prosić o przebaczenie. – Być może, iż byłam nieroztropną, iż zaszłam za daleko. Żałuję, z całej duszy tego żałuję!... zaręczam!... ale Szaszo, bracie mój najukochańszy, nie chciałbyś przecie?... Wystarczy, jestem przekonaną, to moje powiedzenie, iż ona go kocha, aby uczynić niemożliwem wszelkie między wami spotkanie.

— Czy myślisz istotnie, iż gdybym i ja ją kochał, a mąż mnie wyzwał, byłoby to powodem dostatecznym, aby nie przyjąć tegoż wyzwania? — uśmiech księcia miał w sobie coś tak szatańskiego, iż Olga zdrętwiała przerażona. — Ale czemuż tak drżysz i tak bledniejesz? Nie bądź że szaloną! — książe skręcał najspokojniej cygaretto, patrząc w nie, aby ujść przed wzrokiem siostry badawczym i zrozpaczonym. — Jeżeli była nawet chwila, w której mi się podobała Alina, jestem radykalnie wyleczonym. Nic tak łatwo nie leczy mnie z kaprysów miłosnych, jak sentymentalność mieszczaneczek, zagorzałych na punkcie roskoszy małżeńskich, marzących jedynie o garnuszkach, przystawianych własną reką, do własnego ogniska, o dzieciakach zamurdzanych i o mężu w szlafmycy i pantoflach! Otóż Alina wcale mi się już nie podoba, pan małżonek tak występny, a tak czule ukochany, nie ma usposobienia zazdrosnego, którego lękasz się tak bardzo, i twoja nieroztropność — jak sama powiedziałaś — nie będzie miała następstw nieprzyjemnych. Idź, spocznij i nie zaprzątaj mi głowy wymysłami i urojeniami twojej fantazji chorobliwej.

Dotknął się zimno końcem ust czoła siostry, obejmującej go czule ramionami, i gotowiusieńkiej rozpłakać się na dobre, poczem pani de Vesore wróciła do siebie, zaniepokojona więcej niż przedtem była!

(Dokończenie nastąpi.)

---

ZDANIA.

— Rozumny człowiek korzysta z rady nawet wtedy, kiedy za nią nie idzie...

— W oczach kobiet wiek pozostawia ślady tylko na cudzych twarzach...

— Kto nie ulega słabościom przyjaźni, nie zna też jej siły...

— Nie chcesz się zestarzeć? kochaj kobiety — aby je kochać dobrze, trzeba kochać wszystkie...

— Medycyna nie daje często życia ani choremu ani lekarzowi...

— Nigdy ludzie nie cierpieli z powodu serca tyle co dziś, a nigdy właśnie nie mieli go tak mało...

— W historji powtarzają się ciągle też same komedje i dramata, tylko coraz w innych kostjumach i dekoracjach...

— Najdłużej trwają na świecie błędy i przesądy...

---

**Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.**